

# Miljon marek.

(Z niemieckiego.)

Robert Wilder i Wilhelm Miller siedzieli przy suto zastawionym stole pierwszorzędnej restauracji. Była to niedziela, dzień który pozwalał im zapomnieć o zajęciach biurowych i dawał możność porzucenia małej mieściny prowincjonalnej, w której spędzali najpiękniejsze swoje lata, pochyleni nad biurkiem księgując wcale poważne sumy na korzyść firmy „Schulz i Syn“, zadowolając się natomiast b. skromnym uposażeniem. Ale nie sama tylko niedziela była powodem, że przedpołudniowym pościągami wyruszyli do wielkiego miasta, aby bez troski i możliwie przyjemnie spędzić ten dzień. Bez porównania donioślejszym nawet powodem była ta okoliczność, że Robert otrzymał 50 marek podwyżki pensji miesięcznej. Zapraǳiał więc uczcić ten radosny wypadek, a jakże mógł lepiej ten dzień upamiętnić, jak nie przez wydanie bankietu dla kolegi swego i przyjaciela-powiernika wszystkich jego planów i zamierzeń? Zamiast tradycyjnego piwa, które wedle głębokiego przekonania uczujących sprowadzało tylko zbytnią ociążałość, szeregiem stały na stole omszałe butelki reńskiego wina, pobudzającego fantazję i przedsiębiorczość. To ostatnie orzeczenie było także produktem wewnętrznego przekonania Roberta, przynajmniej od chwili otrzymania podwyżki. Wino rozmarza. Więc Robert począł snuć piękne marzenia na temat swojej przyszłości i, ciągnąc przyjaciela za kłapę surduta w celu pobudzenia jego uwagi — zwierzał mu się ze swoich projektów. Przedewszystkiem ożeni się ze swoją wybraną złotowłosą Frydą, — bo, że konkury jego przeciągały się zbytnio i w zeszłym miesiącu święcili jubileusz pięćdziesiątka, — to tylko wina starczego uporu jego teścia, który szczęście ludzkie zakładał na b. materialnych podstawach i wciąż wskazywał konkurentowi na jego znikome małe uposażenie, bynajmniej nie zabezpieczające wymagań przyszłości absolutnie nie odpowiadające wysokości posagu córki. Obecnie argument ten stracił nieco na sile, a inne bodaj nie istniały. Więc po kilku latach przeniosą się szczęśliwi małżonkowie na Śląsk, gdzie szef firmy „Schulz i Syn“ otworzy filję, a kierownictwo jej powierzy oczywiście Robertowi Wilderowi. Wypróbowanej wierności współpracownikowi. Liczna sfera robotnicza będzie rozchwytywała lekkomyślnie tandetę firmy „Schulz i Syn“ dla niebywalej taniości, a on, Robert Wilder, wtajemniczony w wartość zbywanych towarów, on szef filji, będzie się litował ukradkiem nad naiwnością ludzką i będzie przedstawiał głównemu szefowi światne sprawozdania ze sta o operacjach filji, gruntując w ten sposób coraz więcej swoje stanowisko. Synów, — bo najpierw muszą być synowie — dla zaznaczenia swej lojalności i zupełnego oddania skieruje na praktykę handlową do firmy „Schulz i Syn“, a córki wyda za baronów, bo będą

miały krociowe posagi, a skąd, — to b. zwyczajnie się tłumaczy: z czasem Robert Wilder stanie się współnikiem firmy, a gdyby nawet odplacono mu za jego pracę czarną niewdzięcznością i do spółki nie dopuszczono, on, Robert Wilder, który do tego czasu pochwytywał w garść wszystkie sekrety firmy, będzie miał dość energii, aby założyć własną firmę konkurencyjną, a że pozyska sobie tych samych odbiorców, więc albo zniszczy firmę „Schulz i Syn“, albo zmusi do układow. Miller słuchał wywodów przyjaciela, patrząc tępo w przestrzeń oswialemi oczyma. Nastrój, jaki obecnie odczuwał był zwykłym następstwem nadmiaru wina, niemniej był on w jego mniemaniu wzniesieniem się ponad przemijającą powszedniość, patrzeniem na marnie rzeczy świata materialnego „pod kątem nieskończoności“. Jednakże i patrzenie „pod kątem nieskończoności“ ma swoje granice, a do granic tych doprowadza najczęściej rzecz natury zupełnie materialnej. Tak było i teraz, bo gdy Miller chciał zatrzymać laską przez kelnera puszczonego w ruch elektryczny wentylator, złamał ją przez silne uderzenie śmigła wentylatora. Skończyła się jego pogarda dla rzeczy materialnych i począł czynić gorzkie wyrzuty przyjacielowi, że z jego to powodu dotyka go strata, bo wszak z jego wina znalazł się w restauracji z tym fatalnym wentylatorem, wobec czego na nim, jako przyjacielu i inicjatorze wycieczki, ciąży obowiązek odkupienia laski, co zresztą logicznie wypływa z tego faktu, że nie on, Wilhelm Miller, lecz Robert otrzymał podwyżkę. Wzruszony przypomnieniem podwyżki, przyjaciel słuchał go z nietajoną życzliwością i dobroliwie przyjął do wiadomości, że laska ma mieć złoconą gałkę, ma zawierać w sobie punkt nieskończoności i dostać podwyżkę, zato z filji i ożenku laska ta wspaniałomyślnie zrezygnuje, nie chcąc wchodzić w drogę swojemu przyjacielowi.

W miarę zimniejszania się zawartości wina w stojących na stole butelkach uczujących przyjaciół ogarniała coraz większa fantazja, jakby na potwierdzenie „reńskiej teorii“ Roberta.

Brak cygar, zwrócił uwagę Millera na stojący w sali restauracyjnej automat, zapowiadający licznymi napisami uniwersalna zasobność. Miller wrzucił w otwór monetę, lecz, że nie trafił na odpowiedni otwór, automat wyrzucił pudełko cukierków.

W zamian za drugą monetę dał paczkę z napisem „drobiazgi użyteczne“, dalej tabliczkę czekolady, jeszcze jedno pudełko cukierków, wreszcie po szczęśliwym trafieniu oczekiwanego otworu dwa cygara.

Miller złożył wszystkie trofea na stole, poczęstował przyjaciela cygarem i rozpoczął półgodzinny wykład o genialności wynalazku, jakim były automaty.

Wreszcie radził Robertowi, aby niezwłocznie ożenił się z automatem i wkońcu

wzniósł zdrowie młodej i dobranej pary. Robert podzielał bieg myśli Millera, więc z rozczuleniem dziękował mu, zapewniając go o swojej dozgonnej przyjaźni, rozmiązując palcem rozlane na krześle wino i ocierając serwetką lzy wzruszenia.

Po serdecznych wynurzeniach nastąpił zwrot w wiernym użytkowaniu pozostałych darów automatu. Miller pałał niepokonaną żądzą rozdzielenia słodczy między personel kuchenny, i próżno powstrzymywany przez Wildera zmierzał chwilejnym krokiem w kierunku kuchni. Gorące to jednak pragnienie nie miało być jednak urzeczywistnione przez dziwne fatum, które zrzadziło, że Miller przyciął sobie połe surduta we drzwiach, prowadzących na korytarz, a po kilku bezowocnych próbach wyzwolenia, uznał się za zwyciężonego przez siłę wyższą, i wrócił do sali restauracyjnej. Tu Robert wziął go w ramiona, z rozczuleniem upewnił, że najlepszym sposobem użytkowania drobiazgów użytecznych, obejmujących tą nazwą kilka szpilek będzie wetknięcie ich w krzesła ku ożywieniu szczęśliwców, którzy znajdują się po nich w chwilowym posiadaniu tych niezbędnych sprzętów. Czynność ta, jakkolwiek z precyzją i starannością wykonana nie zajęła zbyt wiele czasu.

Przyszła kolej na tabliczkę czekolady.

— Czekoladę poślę mojej narzeczonej, — orzekł stanowczo Robert, poczem zadzwonił na kelnera i zażądał przyborów do pisania.

Tabliczka czekolady została starannie włożona do koperty, jak gdyby to był ostatni egzemplarz na rynku światowym, kopertę zaklejono i nałożono pięć lakowych pieczęci, do których właściciel restauracji udzielił swego sygnetu z wyobrażeniem topora tkwiącego w baraniej głowie. Robert upierał się, że wyobrażenie jest złym prognostykiem dla niego, lecz uległ logicznym wywodom Millera, który słusznie utrzymywał, że nie tylko on jeden, Robert Wilder, żyje na świecie. — Naturalnie pošlemy ją jako przesyłkę wartościową — zapytał Miller.

— Oczywiście — odparł Robert z przekonaniem — na tysiąc marek.

— Co tam tysiąc — pisz miljon marek. Dla mojej narzeczonej każda drobnostka warta więcej niż miljon.

— Niech będzie miljon, — zgodził się Miller, poczem wyraźnie dużymi literami wykalgrofaował: „Wartość jeden miljon marek“.

Robert odczytał uważnie adres i dodał: — Pisz u dołu: Nadawca Robert Wilder, Mittelstadt, ul. Jeremjasza 13.

Miller zastosował się do tej wskazówki.

Zadowoleni ze swego pomysłu, przyjaciele zapalili wydobyte ponownie z automatu cygara, zapłacili rachunek, wynoszący miesięczną podwyżkę Roberta i wyszli, zmierzając do położonego obok urzędu pocztowego. Wnętrze było słabo oświetlone. Jedno tylko okienko było otwarte, siedział przy nim kwaśny i znudzony niedzielny dyżurny urzędnik.

(D. c. n.)



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok II

Łódź, 18 stycznia 1925 roku.

Nr. 3.

## Nowy wojewoda łódzki



P. LUDWIK DAROWSKI.

## BABUSIA.

Vivette wstydzi się swego złego serdużka, ale jednak jest ucieszona chorobą staro Galas'a. Wprowadza to pewną rozrywkę do monotonii życia na wsi.

Babusia włoży znów nową czarną suknię, i pójdą razem do chałupy Galas'a odwiedzić chorego. Jego żona przysunie krzesła do łóżka, a tęga zdrowa Walerja opowie o stanie choroby ojca.

Ten Galas — to straszny wałkoń. Nic nie robi nigdy, czyta gazety, cprawda zawsze stare, kupowane na funty w miasteczku, i karmi całą wioskę i służbę dworską wiadomościami o zabójstwie arcyksięcia w Serajewie, (w chwili gdy zapominano o wynikłej stąd wojnie) o — kradzieży brylantów w Londynie (a rabusie kończą właśnie odsiadywać karę w więzieniu) o katastrofie kolejowej (na zniszczonej dawno — wskutek dogodniejszej komunikacji napowietrznej-linji).

Galas ma powyżej sześćdziesiątki — więc lekko zaziębienie zwałiło go z nóg. Jednak nie chce umierać, ani nawet długo chorować — więc wezwał doktora.

Vivette z babusią chcą być przy jego wizycie. Czy wiecie, co oznacza nowa czar na suknię babusi? Gdy babusia była jeszcze młoda — dwa razy do roku opuszczała swą piękną posiadłość i jeździła do Paryża, gdzie z najmłodniejszego i najpiękniejszego materiału sprawiała sobie czarną suknię.

Gdy Raymond, syn babci, stał się dorosłym młodzieńcem — jeździła do Paryża tylko raz do roku.

Kiedy Raymond przeniósł się do Paryża, aby studiować w szkole Sztuk Pięknych i malować na oszklonym strychu pewnego osmiopiętrowego domu — kiedy poznał Jankę — matkę Vivetty — babusia ograniczała swe garderobiane sprawunki do jednej sukni na trzy, później cztery lata.

Od wielu lat babusia nowej sukni nie ma — ale rozdzieliła swe stare, niezniszczone, i rano, przy gospodarstwie, gdy tualeta jest zbędna — nosi coś z wieku XIX — do obia du kładzie suknie z 1905 — 10 roku, a gdy wychodzi z Vivetty na przechadzkę, odwie dzie paru wieśniaków, lub gdy podejmuje na kolacji proboszcza i doktora Sechneyrat z miasteczka — wtedy zdobi ją „nowa czar na suknię“ z czasu wojny.

Nikt by nie przypuścił, że babusia dźwiga już ósmy krzyżek — prosta i lekka, z uśmiechem na suchej twarzy, otoczonej aure olą białych włosów, dzierży nadal berło gospodni, sama wszystkiego dogląda i stro fuje służbę.

Coprawda od paru lat babusia nie zjawia się rano w ohorze i kurniku, nie bada pasionych wieprzków i nie karmi sama gołębi — ale to wskutek nagłego zamilowania do lektury. Całe ranki spędza teraz babusia w fotelu na werandzie i czyta. Coprawda często książka niewzieta spoczywa na kolanach, a oczy babusi błęgną nie-

spokojnie na podwórko, a uszy łowią odgłosy gdakania, piania, gruchania, chrząkania... i zdawaćby się mogło, że cała dusza babusi wyrwa się tam, do jej gospodarstwa, i jedynie słabość ciała opór stawia — ale to oczywiście złudzenie i babusia nie pilnuje podwórka — bo „woli“ czytać.

Z czasem Vivette podejrzewa babusią, że jej nagłe zatrzymanie się na zakręcie dróżki, niby w celu zaakcentowania jakiegoś zdania — są prosto dla nabrania oddechu do zmęczonych płuc — ale babusia wnet szybciej idzie naprzód, i laską ścina główki przydrożnych dmuchawców — bo przecież nie zabiera laski jedynie jako podpory! —

Babusia włożyła więc nową suknię i ruszyła z Vivettą do staro Galas Vivetta niosła w koszyczku butelkę mocnego wina i ćwiartkę kury — a babusia przyznawała sobie w duchu, że poza miłosierdziem pycha, brzydka pycha skłania ją do tej wizyty! Badźmy szczerzy: babusia jest dumna, że ona, o kilkanaście lat starsza od Galas'a, idzie oto tak rzeżko i prędko odwiedzić go w chorobie.

Po drodze opowiada Vivette po raz setny jak to ten gałgan Raymond ożenił się z Janką i przymierał z głodu — a babusi nic nie pisał, bo udawał, że jego obrazy są rozchwytywane i przynoszą mu bardzo wiele. Raz kupił psa, bardzo brzydkiego, złego psa, którego jedyną zaletą było, że szczekał przeraźliwie i niepowstrzymanie. — Gdy ktoś przychodził — pies dawał koncert, a Raymond tłumaczył gościowi...

— Daruje pan, że go przyjmuję w tym skromnym przedpokoiku, ale w atelier jest mój pies, dziwnie od jakiegoś czasu zdenerwowany, i boję się o całość pańskiej garderoby. Właśnie wczoraj ugryzł mego przyjaciela....

Łatwo zrozumieć, że „atelier“ było nędzną nieumeblowaną dziurą, gdzie stały dwa łóżka, stolik i krzesło o trzech nogach. —

Raymond był bardzo ambitny i równie pomysłowy. Kiedy Janka, matka Vivetty, zmęczona się spacerem po bulwarach, a do domu mieli daleko — maż wchodził z nią do sklepu i oburwem i mówił:

— Proszę o złote pantofelki balowe dla mej żony. Cena nie robi różnicy, byleby były ładne i wygodne.

Siedzieli kwadrans i Janka mierzyla. Ale żadne pantofelki nie były odpowiednie, więc odpocząwszy, wychodzili.

— Nie można usiaść na ławce skweru — to czynia ludzie z prowincji — a na kawiarnie nie mamy — tłumaczył żonie — ten gałgan Raymond.

Vivette słuchała zawsze jednako ciekawie opowiadań Babusi, i śmiała się, że nie znała tego gałgana Raymonda i złotowłosej pięknej jego żonczki — odumarli ją, zaledwie głębokimi oczyma nauczyła się

oboczenie rozeznawać — a od tej chwili na czarnej sukni, łagodnej twarzy i siwych włosach babusi spoczywały zawsze te jej głębokie oczęta.

Babusia od pewnego czasu troskała się o Vivettę. Nie wiem, czy już Wam mówiłem, że Vivetta była uroczą. Jeśli nieto i tak się tego domyślili.

Otóż babusia pragnęła gorąco znaleźć towarzysza dla swej uroczej wnuczki — i oddać w jego ręce skarb, aby móc spokojnie zamknąć powieki. Tymczasem mieszkały same, w okolicy nie było żywej duszy, i babusia już, już myślała nieraz, czy by nie pojechać do Paryża po... nową czarną suknię i męża dla Vivetty.

— Ale ta zepsuta, szukająca posagów młodzież paryska... tr...piła się Babusia.

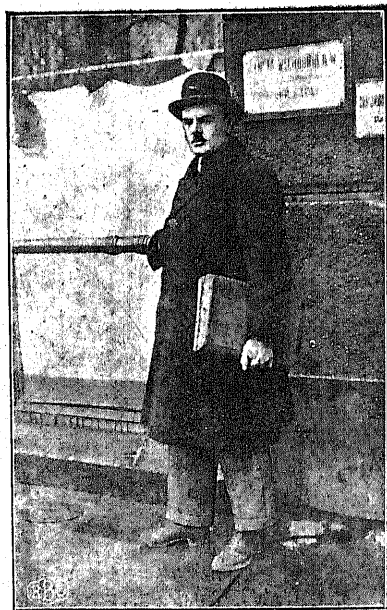
Tymczasem doszły do chały Galas'a. Chory niecierpliwił się, że jeszcze niema doktora. Ach, ten stary Pechneyrat zadługo dawał czekać swym pacjentom!

Na drodze rozległa się trąbka samochodowa. Czyżby doktor na starość porzucił swą bryczuszkę? Nietylko bryczuszkę, ale i powłokę cielesną zmienił Pechneyrat — ze sportowego auta wysiadł młody, przystojny mężczyzna w białych tenisowych spodniach i rozwartęj koszuli, wszedł do izby, pozdrowił zebranych i spytał:

— Cóż choremu dolega? Przyjechałem w zastępstwie doktora Pechneyrat, który słabo się czuje i nie mógł sam przyjechać. Jestem doktor Lacombe.

Zbadał Galas'a, zapisał lekarstwo, zapowiedział wizytę za dwa dni — i już go nie było. Szkoda, że tak lubił pośpiech — albowiem żona Galas'a, Walerja, babusia i nawet (może się zresztą mylę) Vivetta chętnie patrzyły na urodziwą postać młodego eskulapa.

Babusia pojechała z Vivettą do miasteczka po czarną materję — i nazajutrz od rana panna Marta Leferre szyla nową suk-



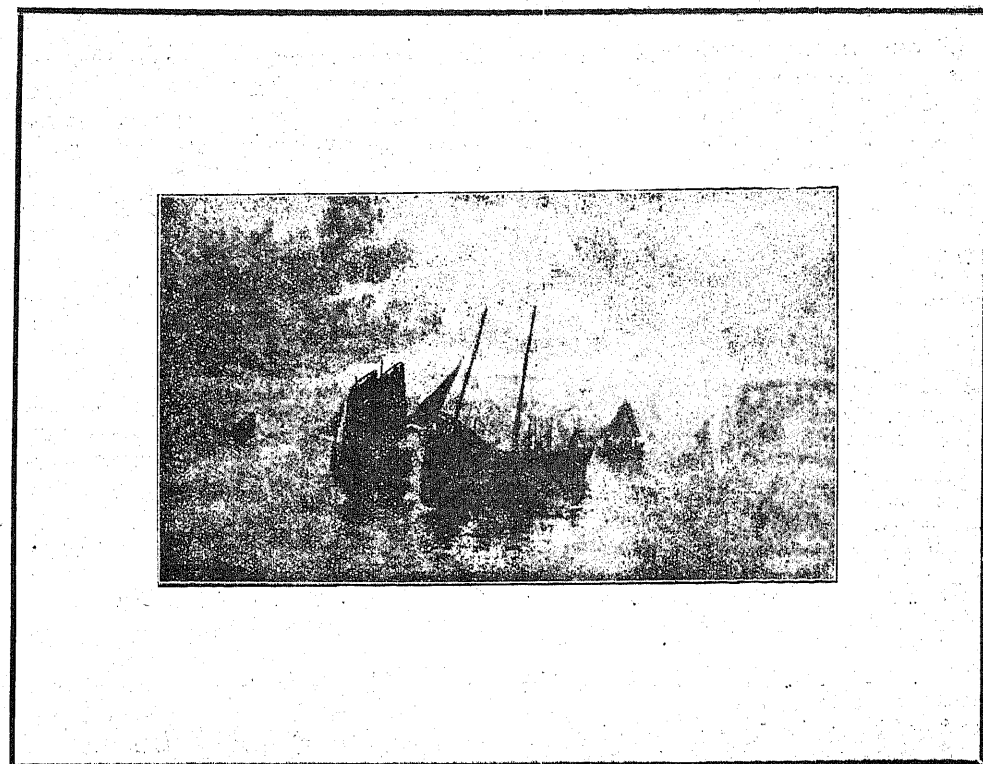
Artysta malarz p. Bruno Lechowski wyruszył z Łodzi w dalszą podróż naokoło świata.

## Z żalobnej karty.

Ś. p. FRANCISZEK ŁUBIEŃSKI.



Wybitny artysta malarz, łodzianin, zmarły 5 stycznia r. b. w Warszawie, świetny twórca typów ludowych oraz krajobrazu polskiego.



Z polskiego morza.

Franciszek Łubieński.

nię. Panna Marta od kilkudziesięciu lat ubierała miasteczko i okolice, oraz zaopatrywała w ploteczki. Wiedziała wszystko! Wiedziała też, że nowy doktor w miasteczku, Pierre Lacombe, pochodzi z dobrej rodziny, że ukończył studia z odznaczeniem, że jest zamożny, i że mamy całego okręgu patrzeć na niego pełne słodkich nadziei...

(Czyż więc i babusia nie może myśleć o pięknym doktoru i patrzeć nań z nadzieją?)

Podczas drugiej wizyty doktora Lacombe u staro Galas'a babusia z Vivettą były obecne. Przecież babusia interesuje się gorąco stanem zdrowia tego pocziwca.

Młody doktor stanowczo zanadto się we wszystkim spieszył! Czy uwierzycie, że w ciągu dwóch badań postawił staro Galas'a na nogi? I Galas był tak zdrow — jak nigdy przedtem!

Ale babusia była oburzona na pośpiech Pierre Lacombe'a.

Po paru dniach babusia nie ukazała się do południa na werandzie — a gdy Vivette zaniepokojona weszła do pokoju — ujrzała babusią w łóżku. To się zdarzyło po raz pierwszy!

Babusia oświadczyła, że się źle czuje i każała zaważwać z miasteczka doktora.

— Chyba do jasnie pani Pechneyrat przyjedzie — powiedziała gospodyni, ale babusia oburzyła się i gniewnie zawołała:

— Nie chcę go, nie chcę! Niech przyjedzie ten, który wyleczył Galas'a.

Pierre Lacombe przyjechał w swym ładnym samochodzie, zbadał babusią, znalazł jedynie osłabienie, przepisał djetę i u-

znał, że dalsze jego wizyty są zbędne, Tu znów babusia zaoponowała.

— Doktorze — mam wielki majątek, domy, papiery wartościowe, ziemie i lasy — jedyną spadkobierczynią jest ta oto dziewczynka — mogę sobie chyba na to pozwolić, by doktor codzień mnie doglądał;

Pierre Lacombe ustąpił wobec podniecenia babusi, i codzień jego sportowy pojazd czekał przed starym dworkiem. Zauważono przytem, że czekał coraz dłużej...

Wizyty u „chorej“ nie były nigdy przewlekłe — ale zdawanie sprawy ze stanu zdrowia babusi przed Vivettą dziwnie się przewlekalo.

Podczas rozmów dwojga młodych w przyległym saloniku babusia patrzyła na zegarek i z zadowoleniem szeptała do siebie:

— Znów kwadrans dłużej siedzi! Kto wie, jeszcze parę dni — a może będę mogła spokojnie wyzdrowieć. Jakże mięczy mnie to łóżko, bezczynność i brak ruchu.

Babusia doczekała się. Pewnego dnia Pierre i Vivette, trzymając się za ręce, wsunęli się do pokoju babusi i Pierre rzekł:

— Jak pani wyzdrowieje, poproszę o pozwolenie nazywania pani babusią.

— Już wyzdrowiałam, drogie dzieci! za wołała radośnie starszka. — Natychmiast wstaje!

Dziwne! Osłabły nogi babusi, odeszły ją sily. Sterane wiekiem ciało upodobało sobie wypoczynek, i niechętnie opuszczało ciepłe, wygodne łóżko. A babusia zrozumieć tego nie mogła! I nie chciała!

Przecież rozumiała... Więc przyspieszył ją chwilę, w której młodzi wyrwać się mieli

na Południe, do błękitnej włoskiej krainy. Udawała zdrową — (tak jak niedawno udawała chorą) — by ich radości nie zaćmiewać.

A gdy szczęśliwą parę uniósł syczący kurjer — babusia powróciła do nowego przyjaciela — wygodnego łóżka, i słuchała, zdala gwaru podwórka, chrząkania prosiąt, gęgania, kwakania i piania młodych kogucików.

Po ciężkiej próbie udanej słabości, na jaką wystawiła swą starość — położyła się, aże by wkrótce zamienić łożę na inne, ciasniejsze — w którym już nawet piania kogucików nie usłyszy.

(przer. Ir)

P O E T A :

Gdziekolwiek źle się dzieje, jakiegośkolwiek kłeski,  
Ja zawsze jestem górą, jam zawsze jest zwycięski!

Jakieby bądź tryumfy, jakieby wlotów szczyty  
Ja zawsze jestem dołem, jam zawsze jest pobity!

Jakieby bądź nieszczęścia, rozpaczę i niedole,  
Ja wiecznie żyję w śmiechu, wesele mam na czole!

Jakieby bądź rozkosze, uciechy i radości,  
Ja ciągle żyję w płaczu, boleści i żałości!  
Ma dola jest nieszczęsna, ma dola jest szczyt sliwa!

Muszę mieć zawsze w duszy to, na czym wszystkim zbywa.

Leopold Staff.

## TEATRALJA.

POŚMIERTNY SUKCES J. A. KISIELEWSKIEGO. — TEATR im. BOGUSŁAWSKIEGO w... PARYŻU. — SOLSKA w... SŁONI  
MIE I KOWLU. — NOKTURNY CHOPINA MOTYWEM OPERETKI. — ERCOLE MORSELLI.

W ostatnich Teatraliach wspominaliśmy m. in. o zamierzonym wystawieniu w Teatrze Polskim potężnej sztuki J. A. Kisielewskiego, tak głośnej ongiś: „W sieci”. Pomimo wyrażanych tu i ówdzie obaw i zastrzeżeń co do obecnej wartości liczącej sobie ćwierć wieku sztuki, dyr. Szyfman ważył się na wznowienie „W sieci” w d. 10 b. m. i odniósł na całej linii sukces niepospolity. Próba czasu, której zwycięsko oparło się dzieło Kisielewskiego świadczy o świetnym i istotnym talencie autora. Mimo przewrotów i zmian w warunkach rodzinno-socjalnych, tego źródła konfliktu „szalonej Julki”, mimo zewnętrznych anachronizmów, sztuka Kisielewskiego, jak to podkreśla cała krytyka warszawska, pozostała współczesna i żywa. „Odczuwamy w niej bowiem — pisze Boy-Zeleński — siłę i prawdę żywiołu; widzimy w niej nie tragedję jednej panny radczanki, ale niemal jedną z męczeńskich kart polskiego ducha”.

Tak oto w nienowstrzymanym pochodzie lat J. A. Kisielewski z za grobu święci triumf swego dzieła po raz wtóry. Dzieło przeżyło

dyr. Schillera. Widowiska te, inscenizowane już poprzednio w „Reducie”, wybrane są bardzo szczęśliwie w charakterze pokazów ludowo-religijnego stylu polskiego. Wśród międzynarodowej publiczności w Paryżu przedstawienia zespołu polskiego wzbudza niewątpliwie wielkie zainteresowanie odrębnością i barwnością swego charakteru oraz umiejętną archaizacją dzisiejszych reguł teatralnych. Należy przypuszczać, że materialną stroną imprezy dyr. Schillera zajmie się Departament Sztuki i Kultury, bo przecież polska propaganda artystyczna zagranicą to cel niewątpliwie państwowy, na któryłożyć warto i trzeba.

Habent sua fata... Irena Solska, występująca do niedawna na scenie jednego z dzielnicowych teatrów warszawskich, wyjeżdża w tych dniach na tournée artystyczne do... Łomży, Lidy, Słonima, Kowla i innych miast kresowych. P. Solska występować będzie w jednej z najlepszych swych kreacji, jako żona w słynnej „Djablycy” — K. Schoenherra... Wszystko to bardzo pięknie; dobrze, że i mieszkańcy Łucka

granica, zwłaszcza wśród zimno-krwistych synów Albionu, trudno się jednak pogodzić z tą oryginalno-operetkową formą popularnej zacji autora ballad, nokturnów i inazurków. Wprawdzie librecista zapewnia, że operetka będzie miała podkład poważniejszy, o nastroju sentymentalno-romantycznym, bądź co bądź jednak samo zestawienie operetki z — Chopinem budzić musi wśród wrażliwszej publiczności pewien grymas niesmaku. Podobno wzorem dla ekscentrycznej pomysłów Anglików posłużyła gra na w swoim czasie z wielkim powodzeniem w Wiedniu operetka na tle życia i muzyki Szuberta, p. t. „Dreimäderlhaus”.

W jednym z warszawskich wydawnictw teatralnych znajdujemy garść ciekawych informacji o współczesnym autorze włoskim Morselli, który jest fenomenem artystycznym w swoim rodzaju. Bez znajomości języków starożytnych, autor ten tworzy natłumione dzieła dramatyczne, będące właśnie wspaniałymi wizjami antycznego świata i zrodzone z tęsknoty do czasów mistycznych bohaterów i półbogów. W sztukach swoich: „Orione” i „Glauco” — Morselli daje ujęcie tej tęsknocie, wchodzi w zaczarowane królestwo mitów i legend klasycyzmu, nurza się w poświęcenie poetyckiej fantazji. Dzieła sceniczne Morselli'ego są to przedewszystkiem udramatywizowane liryki proza, w których pod dotknięciem dłoni twórcy wszystko się jakgdyby dematerializuje. Oryginalna twórczość Morselli'ego, daleka od zgiełku przeciętnej aktualności, wywołała w sferach artystycznych zagranicy ogromne zainteresowanie, a „Orione” i „Glauco” uważane są nie bez słuszności za bardzo doniosłe ewenementy w kronikach współczesnego teatru włoskiego.

B. D.

## OSTATNIE NAJPIĘKNIEJSZE GWIAZDY FILMU.



Jacqueline Logan.



Leatrice Joy.

twórcę, przeżywa niszczącą pracę czasu — gdyż z ducha artyzmu i prawdziwego talentu zostało poczęte. Zazieleniły się znowu wawrzyny sukcesów „W sieci”, w dużej mierze dzięki dobrej grze młodych sił aktorskich Teatru Polskiego (p. Modzelewska — Julka, p. Warnecki — Jura i inni). Pomysłowa, inteligentna reżyserja p. Ordyńskiego, którego z Kisielewskim wiązał stosunek osobistej przyjaźni, również godna jest zaznaczenia.

Na międzynarodowej wystawie sztuki dekoracyjnej w Paryżu, która otwarta będzie w kwietniu r. b., odbywać się również będą w specjalnie zbudowanym gmachu teatralnym widowiska reprezentacyjne poszczególnych narodów. Jako warunek konieczny, widowiska te reprezentować muszą bądź jakiś nowy kierunek artystyczny, bądź też styl narodowy. Z teatrów polskich, jak się dowiadujemy, dotychczas jedynie warszawski zespół teatru im. Bogusławskiego pod dyktando L. Schillera zgłosił swój udział w widowiskach wystawowych. Mają być mianowicie wystawione „Pastoralki” i „Wielkanoc” według układu i kompozycji

czy Baranowicz zobaczą grę naszej wielkiej artystki. Ale trudno się nie dziwić w dobie narzekania na brak talentów aktorskich, że p. Solska szukać musi sobie pola do popisu na scenie w Brześciu i Zamościu. Tak jakby nie było teatrów w Warszawie, Łodzi, Poznaniu, Lwowie, Krakowie. Historje tego rodzaju, jak podróż p. Solskiej po błotnistych dziurach kresowych, zdarzać się mogą chyba tylko w Polsce, gdzie wogóle wiele spraw dzieje się naopak.

Na dość niesamowity, a bodaj że niebardzo smaczny pomysł wpadli w Londynie niejacy pp. Dyneforth i O'Neill, z których pierwszy napisał libretto, drugi zaś ułożył muzykę do operetki p. t. „Dama nokturnów”. Treścią operetki ma być życie wielkiego naszego muzyka — Chopina, w szczególności zaś romans jego z panią Georges Sand, co się zaś tyczy muzyki jest ona skomponowana wyłącznie z motywów cho pinowskich. W operetce występują liczne osobistości, odgrywające poważniejszą rolę w życiu Chopina m. in. Liszt. Nie można oczywiście mieć nic przeciwko popularzowaniu twórczości i twórców polskich za-

## Z CYKLU „SERCE”.

### IV ODPOWIEDZ.

...Tak — ja mam serce. Bólem ścięte — choć płomień życia w nim się żarzy. Tak — ja mam serce — Mam, przekłete, które o szczęściu jeszcze marzy.

O, ciszej serce, nie bij serce jak ptak okuty w łańcuch złoty, i zagaś szczęście w pierwszej sklerze — a potem — skonaj mi z tęsknoty. Ach, skonaj! Nie chcę żyć z niemocą w ludzkiej i własnej poniewierce — bo żyć dla kogo? bo i po co? Ach, żeby umrzeć... zciszyć serce!

Nie, nie! Nie skrócę własną ręką życia niedoli. Ja żyć muszę. Trzeba okupić błędy męką, trzeba czynami podnieść duszę.

Więc będę piła z mąk kielicha ażeby błędów zdjąć niewolę, wlec pójdę w życie sama, cicha, gdzie jest ból ludzki i niedole. A może wtedy, gdy mię Chryste jak ptaszę smutne i bezdomne w niebiosa weźmie promieniste — może ja wtedy tam — zapomnę?

Lucyna z Macherskich Pruszyńska

— X —

## W KRÓLESTWIE MODY.

### JESZCZE KILKA SUKIENEK!

Paryż, 14 stycznia.

Niewiele nowości mam dla Was, piękne panie. W królestwie mody cisza — ale prawdziwa to cisza przed burzą. Zablądziłam aż do Paryża w poszukiwaniu ciekawych wieści dla miłych czytelniczek — ale i tu spokojnie.

Burza nadchodzi!

Krawcy, rysownicy — mistrze mody zniknęli z salonów w wielkich magazynach — bo tylko od czasu do czasu zjawi się klientka, by dokompletować przeważnie ukończony zimowy ekwipunek. Mistrze w ustroju pracowni tworzą arcydzieła na zbliżający się sezon wiosenny.

My jeszcze w najlepsze otulamy się futrami, wyjeżdżamy na zimowy sport, balujemy — a oni już pracują w szybkim tempie, aby w lutym oszłomić nas różnorodnością i pomysłowością nowych modeli.

Tak, piękne panie — przyznaję, że gdy przechodzę koło Goupy, Premet lub Drecoll — porywa mnie chęć przeniknąć tajemnicę zamków mody i podpatrzeć wykluwanie



1. Model Madelaine et Madelaine z mauve linou, góra staniczka przybrana srebrną koronką.

się pierwszych jaskółek wiosny.

Może mi się to uda — nie zapomnę wtedy o Was, miłe panie.

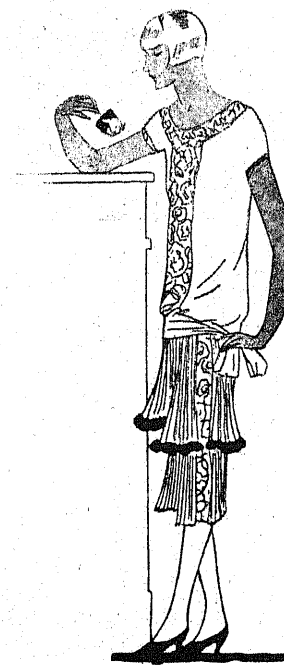
Narazie ograniczamy się do wyzyskania wszystkich efektów mody obecnej — a zapewniam was, że niewyczerpana to jeszcze skarbnica.

Możemy śmiało powiedzieć, że wytyczną linią w tym sezonie jest prosty stanik — a spódniczka fantazyjnie rozszerzona i krótka. Uzyskujemy rozszerzenie, dające tyle lekkości, młodości i wdzięku sylwetce, przez kliny kloszowe, wstawy plisowane, marszczone tuniki, boczne treny lub sute upięcia z gazy, tiulu i koronki.

Najbardziej lubiane są plisowania. Poza falbanami plisowanymi, jak to widzimy



3. Sukienka z magazynu Nicole Groult z turkusowego krepdeszynu, przybrana aplikacjami z tejże materji ciemnoniebieskiej, przy szytymi przezrystymi koralikami.



4. Słynny Goupy przeznaczka na wieczorki taneczne tę sukienkę z różowej crepe de chine, haftowaną złotem, ozdobioną dwiema plisowanymi falbankami, z których pierwsza obramowana skunksami.

na rys. 4, dajemy całe przody, lub przody i tyły, lub też boki z drobno plisowanego innego materiału. Do sukien ciemnych lub bardzo pstrych decydujemy się przeważnie na przybranie z białego krepdeszynu. Czarne ożywiamy kolorem frez, zielonym amande, szafirowym lub tutankhamenem.

Koronki świecą niebywale tryumfy, i to zarówno prawdziwe białe, stosowane jako kołnierze i mankiety przy czarnych kitlach jedwabnych lub sukniach stylowych — jak i złote, srebrne lub mieszane, używane na tuniki, treny, staniki a nawet na całe suknie, oczywiście na odpowiednim atłasowym podbiciu.

Tuniki dalej są en vogue. Urozmaicamy je wykrojem w zęby, (rysunek 1) oszywamy futrem, dajemy jako fartuszki, tylko z przodu i z boków — ale jesteśmy im wierne.

Na paru balach w tutejszej stolicy zwrócić uwagę suknie, stanowiące gamę cieni jednego koloru. Wspaniałość efektu zastępuje w tych sukniach wszystko — są to więc przeważnie proste w kroju koszulki.



2. Drecoll użył białego velour-chiffon na prostą sukienkę o draperji opadającej z ramienia i tworzącej spódniczkę.

U góry prawie białe — zwolna przechodzą w kolor różowawy, koralowy, aż kończą się u dołu zupełnie ponsowym brzegiem. Te same gry barw niebieskie, a nawet — i bodaj najpiękniejsze — białoszarawo-czarne.

Suknie te zarzucamy jedynie deszczem dżetów srebrnych lub przejrzystych, mieniących się.

Dekolty nie są głębokie — ale bardzo szerokie. Do tualet balowych przytrzymujemy przeważnie suknie tylok paseczkami na ramionach, jak to widzimy na rys. 3 i 5.

Zegnam Was narazie, piękne panie — spieszę do modnego dancingu obejrzeć stroje poobiednie.

Varsoienne.



5. Model firmy Molyneux. Spódniczka ze srebrnej lamy — stanik i boki ze srebrnej koronki.

### KIEDY SIĘ SPEŁNI...

Są noce, kiedy cicho rozmawiam z duchami  
Ja niewierzący w żadne zaklęcia i gusła—  
Gdzieś w wodach niewiadomych skrzęca  
fala pluska,  
Dziwne sądy się ciągle sprawują nad nami.

Czuję żar — w dookółu płomienieć zaczyna,  
Niby szmery się wioczą lekkie i obłoczne,  
Zaraz tan jakiś gwiazdny ze sobą roz-  
poczne,  
Zaraz dziwna w beczasie uderzy godzina.

I oto z poza planet, ze źródlisk podziemi,  
Nie tykając powietrza, spłyną cieniów  
rzędy,

Nie powiedzą skąd przyszły, po co, i któ-  
rędy  
Jeno skrzydły łopotać będą świetlistemi.  
Nie powiedzą, lecz oto ja, co jestem Du-  
chem,  
I mam władzę rozwiązań i moc przenikania,  
Zrozumiem, co z nich każdy przedemną za-  
stania,  
Czaru słów się doszukam w ich milczeniu  
głuchem.

Płomieniejący w tajń każdej weśnię się  
litery,  
A weśniony tak będę grażył się do końca,  
Póki ztamtąd nie wydrę jednej iskry słońca.  
By ją rzucić rakieta w krąg „Złotej Chi-  
mery“.

Po tym rzucie napłyną trzy złociste promy,  
Trzy powietrzne korable szlakiem od mie-  
siąca,  
W niewiadomych gdzieś wodach plusnie  
fala skrzęca  
I uniesie mnie kędyś w przestwór niewia-  
domy..

A wówczas się ukążą w niebie znaki  
mgławe,  
Ale skroś mgłę mówiące świetlejąca siła,  
Ze właśnie to, co miało spełnić się, speł-  
niło,  
I będzie nagłym kształtem przesunięte  
w jawę.

Zygmunt Różycki.

### TYLE PIĘKNA NA KAŻDYM JEST.

...Tyle piękna na każdym jest kroku,  
że już ludzie przywykli do tego:  
że nie widzą już światła dziennego  
ni sennych gwiazd uroku.

Ze już dla nich zwyczajną jest rzeczą  
srebrna zima czy lato różowe —  
i choć szumią im kwiaty majowe  
z goryczy się nie leczą!...

Ze się ani powagą gór nie cieszą,  
ani rzek szczybotaniem niewinnem —  
tylko zawsze zajęci czem innym,  
śpieszą gdzieś, śpieszą, śpieszą...

Ze im wicher nie dzwoni w krwi tętnie  
oddech ciszy im trosk nie uśmierca,  
że błękitów nie biorą do serca,  
patrzając w nie — obojętnie...

...I nie wiedzą, jak wielkim spokojem,  
jakim snem, co ze szczęściem nas brata,  
jest wciąż myśleć o życiu-wszechświata,  
a jaknajmniej — o swoim!

Anna Słonczyńska.

### Z karykatur TADEUSZA KLECZYŃSKIEGO



Dyrektor Teatru Miejskiego p. Wroczyński w poszukiwaniu nowych dróg finansowych.

### Z LIRYKÓW HORACEGO KSIĘGI I

#### PIEŚŃ 23.

Jak sarenka wśród gór Chloe przede mną  
mkniesz,  
Matki drżącej co wzdłuż szuka bez dróg  
i wszędy:

Lada tchnienie jej chmurki  
Nie czczy strachem i — ciemny las.

Czy płochliwy bo liść drgnął i coś szepnie  
głóg  
Wiatrom, malin czy krzem ruszą, zielenią  
smug

Migocące jaszczurki: —  
Serce, kolana drżą raz w raz...

— Przecież ja cię nie tak jak tygrys, dziki  
zwierz  
Albo getulski lew zmiażdżyć chce u mych  
leż...

Przestań drogą iść córki:  
Wreszcie za mężem pójść ci czas...

Przełożył Józef Stanisław Serednicki.

### Drobiazgi.

#### Zastosowanie radjotelefonu przy wypadkach w kopalniach.

W Stanach Zejdnoczonych prowadzone były ostatnio na szeroką skalę doświadczania z użyciem radjotelefonu pod ziemią. Próby te zostały uwieńczone doskonałym rezultatem. Chodzi tu o możliwość zastosowania radjotelefonu przy katastrofach kopalnianych. Kierujący temi eksperymentami inżynier pracuje obecnie nad aparatem radjowym, który będzie miał specjalne zastosowanie w akcji ratowniczej w kopalniach.

#### NIEZNANY OBRAZ RAFAELA.

„Westminster Gazette“ donosi z Shaf-field, że górnik tamtejszy przyniósł przed niespełna trzema miesiącami na sprzedaż do handlarza obraz, przedstawiający Kupida i Psyche. Miejscowi znawcy sztuki twierdzą, iż jest to oryginalne dzieło Rafaela i to nadzwyczajnej piękności. Obraz ten zostanie w najbliższym czasie przewieziony do Wiednia i oddany do zbadań dyrektorowi Galerji Narodowej, p. Holmes'owi.

#### NAJWIEKSZY ZEGAR NA ŚWIECIE.

Wszystkie dotychczasowe rekordy rozmiarów i wagi pobił zegar, skonstruowany przez angielskie przedsiębiorstwo przemysłowe przy budynku fabrycznym na wyspie Jersey. Średnica tego zegara wynosi 27 metrów, długość wskazówki minutowej 13 a godzinowej 9 metrów. Obie razem ważą 3,825 funtów, poruszane są motorem elektrycznym. Tarczę oświetla 200 lampek elektrycznych, umieszczonych dokoła niej.



# Miljon marek.

(Z niemieckiego.)

### Dokończenie.

Robert zbliżył się do okienka, ciągnąc daremnie zgasłe cygaro.

— Za pozwoleniem, zauważył cierpko urzędnik, w urzędzie palić nie wolno.

— Mniejsza o to, rzucił niedbale Robert, podając urzędnikowi przesyłkę.

— Jakto mniejsza o to, — zrzędził surowo urzędnik. — Palenie w tym gmachu muszę uważać na lekceważenie urzędu i...

Nagle zerwał się ze swego miejsca, począł gorączkowo czegoś szukać po kieszeniach. Odczytany na przesyłce napis zelektryzował go — Miljon M., bagatela drżąca ręką zapalił zapalniczkę i podał Robertowi.

— Proszę, może pan raczy zapalić... przepisy są tylko dla tłumu... w gruncie rzeczy to... Może pan pozwoli świeże cygarko.

Robert spostrzegł, że napis na przesyłce wywołał sensację. Przybrał więc pozę milionera znającego swoją wartość i rzekł sucho:

— Dziękuję, niech pan pełni swoją powinność. Urzędnik pośpiesznie zważył przesyłkę, zanotował wagę i zważył ponownie. Ręce mu się trzęsły:

To, co przed lat dwadzieścia cztery szybko i sprawnie wykonywał, szło mu niezgrabnie i opornie. — Pan wybaczy, jedna chwilką, muszę zajrzeć do księgi informacyjnej, ile pobrać za przesyłkę. Miljon to rzadka rzecz.

Robert pomyślał z obawą, że pieniądze, które mu zostały, być może, nie starczy na zapłacenie przesyłki. Z drugiej zaś strony żał mu było stracić pozę milionera. Takie przyjemne uczucie. Rzucił więc krótko. — Zapłacona — i aż się w duchu żdziwił swojej pomysłowości. Urzędnik stuknął się wskazującym palcem w czoło. — No oczywiście, rozumie się samo przez się, ktośby nie przyjął miliona dla uniknięcia opłaty tak drobnej w porównaniu z zawartością przesyłki. — Szybko wypisał pokwitowanie, wręczył Robertowi z głębokim ukłonem i usiadł dopiero po wyjściu imponującego interesanta.

Chwilę potem przyjaciele siedzieli przy czarnej kawie w pobliskiej kawiarni.

— Ciekawym miny mojej narzeczonej, kiedy przesyłkę otrzyma?

— A jej stary? On lubi takie koncepty.

A, lubi, byleby tylko niedrogo kosztowały.

No, więc ci z posagu potraci te kilka marek.

— Co ty mówisz? Kilka marek? Czyżby to głupstwo tyle kosztować miało?

Miller flegmatycznie wyjął z kieszeni notatnik, otworzył go na miejscu oznaczonym napisem i czytał: „Porto bez względu na wagę 40 f., za niefrankowaną przesyłkę 50 f., za pierwsze 300 M. opłata wy-

nosi 10 f., za każde następne 5 f. To go uspokoiło zupełnie. Odetchnął z uczuciem ulgi.

— Człowieku, krzyknął, ależ to śmieszna drobnostka. No, słyszysz?

Porto 50 f. i jeszcze po 5 f. za każde 300 M. Zaraz policzymy. Miljon podzieliłmy przez 300. Hm... coś dużo... Tak 3333 możemy przez 5, to wyniesie... czyżby 166 M. 75 f. Tak. Wypada M. 26 f. Nie...

Oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia graniczącego z przerażeniem. To być nie może. Liczmy razem raz jeszcze.

Rachunek wykazał to samo. Miller z obawą spojrzął na przyjaciela. Robert porwał się z miejsca i chwycił się za głowę.

Bój się Boga, człowieku! Coś ty mi narobił? Mój przysły teść nigdy mi nie daruje tak lekkomyślnego — żartu. Znam go dobrze. Za nic w świecie nie da Frydy! I to zrobiłeś ty, przyjaciel! — Rzucił się na fotel i jęczał bezradnie. Niespodziewanym odkryciem rachunkowym Miller był niemile dotknięty. Naraz zerwał się pod wpływem szczęśliwej myśli. — Chodź, odbierzemy tę nedorzeczną przesyłkę. Chodź natychmiast. Ożywiony nadzieją Robert dał sobą powodować. Po chwili niezdłżył się przy urzędzie pocztowym. Niesięty światła były pogaszone a drzwi zamknięte. Robert był złamany. — Skąd ci przysłała ta nedorzeczną myśl?, wy-rzekł gorzko. Tak zupełnie pozbawiony sensu był dowcip z tym głupim czekoladowym miljonerem? — Za pozwoleniem, oddaj rozdrażniony głosem Miller — Koncept rzeczywiście głupi, ale twój: ja chciałem napisać 1000 M. zapłaciłbyś niecałą M.: miljon to twój wynalazek, masz więc, co chciałeś.

— Ale ty powiedziałeś pierwszy, że-  
by z tego zrobić wartościową przesyłkę.

Wzajemne wyrzuty przyniosły im pewną ulgę, choć stanu rzeczy nie zmieniły.

Po chwili milczenia Robert odezwał się pierwszy:  
— Czekał, nic straconego, listu nie doręczą tak zaraz: możeby uprzedzić twój narzeczoną, żeby przesyłki nie przyjęła.

— Wiedziałem, że nie powiesz nic mądrego, odrzucił cierpko Robert.

— Zrozum więc nareszcie, że o tej przesyłce nie powinna nic wiedzieć moja narzeczoną a tem bardziej jej ojciec... Byłbym w jego opinji zgubiony na zawsze... Albo nie dałby mi wcale Frydy, albo bez posagu... Już ja go znam... Tak, jak bym go słyszał: „— Co do posagu, to obawiam się złożyć go w ręce lekkomyślnego człowieka: pieniądz lubi się trzymać ludzi uczciwych i statecznych“...

Przebrzydły stary maniak z tymi aforyzmami...

— Więc damy depeszę do urzędu po-  
ztowego na stacji odbiorczej, aby prze-  
syłkę skierowała do nadawcy to jest do  
ciebie.

— Nie pozostaje nic innego. Biuro tele-  
grafu otwarte całą noc.

Depesza kosztowała blisko 3 M., musia-  
ła przecież być jasno i obszernie zredago-  
wana, tak ważną miała misję do spełnie-  
nia...

Po wyjściu z biura telegrafu Miller  
chwycił przyjaciela za rękę i krzyknął: —  
A porto... Wszak wynosi blisko 170 M. Ro-  
bert rozłożył bezradnie ręce.

— Ha trudno... Jeśli przesyłki nie przy-  
ję, poczta nałoży mi areszt na pensję i  
skompromituje wobec szefa... Przecież  
przesyłka skierowana będzie do mnie na  
moje własne żądanie. Djabli wzięli cztero-  
miesięczną prawie podwyżkę. Możesz mi  
powinszować.

— No, bądź spokojny, wtrącił Miller,  
któremu jakie takie wyjście z tej sy-  
tuacji powróciło fantazję. Twoja gospo-  
dyni pierwsza gratulować ci będzie miljo-  
na, kiedy ci przesyłkę z poczty odniosą...

— Do stu piorunów bełkotał Robert, co  
raz lepiej zdając sobie sprawę z powikłań,  
jakie ich żart niewczesny sprowadzić mo-  
że. Reszta mocy przeszła bez przygód  
godnych zanotowania.

Nazajutrz Wilder wyszedł b. wcześniej  
do biura. Każdej chwili spodziewał się do-  
starczenia przesyłki a chciał uzyskać zwło-  
kę, aby powziąć jakąś decyzję i znaleźć  
może jakąś myśl szczęśliwszą, któraby go  
wywikłała z tej osobliwej sytuacji. Kiedy  
w porze obiadowej znalazł się w swoim  
mieszkanie, wpadła do jego pokoju gospo-  
dyni i z przejęciem opowiadała mu, że  
wkrótce po jego wyjściu przybył listonosz  
w towarzystwie uzbrojonej eskorty i pytał  
o niego chcąc mu doręczyć miljon M. Do-  
wiedziawszy się, że nadawcy niema w do-  
mu dopytywał się, w jakiej porze zastanie  
go w domu i zapowiedział powtórne przy-  
bycie w porze obiadowej. Ku wielkiemu  
zdumieniu gospodyni Wilder z niechęcią  
przyjął do wiadomości tę wielką nowinę,  
zjadł pośpiesznie obiad i wyszedł zmierz-  
ając do biura. Nigdy nie okazywał takiego  
pośpiechu jak w chwili obecnej. Ale nie  
łatwo mu było wydstać się na ulicę. W  
bramie oczekiwał go właściciel domu i wni-  
szując niespodziewanej fortuny dopyty-  
wał, czy nie zechciałby zająć obszerniej-  
szego mieszkania w jego domu. Był na-  
wet gotów usunąć się z własnego miesz-  
kania. Gdyby to Wilderowi przypadło do  
gustu, czeka tylko dyspozycji i wskazo-  
wek, jak je ma odświeżyć i jakie przerób-  
ki wykonać. Robert mruknął mu kilka nic  
nie znaczących wyrazów, pożegnał go po-  
śpiesznie, obawiając się, że za chwilę wej-  
dzie urzędnik pocztowy, aby mu wręczyć  
ten nieszczęśliwy miljon. Dopiero na uli-  
cy odetchnął spokojnie. Ale żadna myśl  
nie przychodziła mu. Przeciwnie wszy-  
stkie myśli skłębity się straszliwie. Sto-  
sunek jego do otoczenia przestawał dla  
niego być zrozumiały. Szedł skradając się

jak przestępca, obawiał się, że zatrzyma go ktoś wtajemniczony w zawartość przesyłki i publicznie zdemaskuje go. Zdawało mu się, że postawią go przed sąd, obwiniając o usiłowanie oszustwa a on nie będzie miał nic na swoją obronę. Zdenerwowany do ostatecznych granic zamiast do biura poszedł do banku, gdzie miał trochę złożonych oszczędności, podniósł ze swego rachunku potrzebną sumę i udał się na pocztę, aby wykupić swój milion. Po dokonaniu wszelkich formalności, przedstawieniu i sprawdzeniu przedstawionych dowodów szef biura osobiście wydał mu cenną przesyłkę opowiadając dobrotliwie, ile to z nią miał kłopotu. — „Milion to nie żart. To „kilkakrotnie przewyższa budżet całorocznego urzędu pocztowego. Więc przeczność nakazywała na noc stać wartę, a sam szef kilka razy zrywał się w nocy z posłania, aby sprawdzać, czy straż nie zasnęła. — To milion: to nie żart“. Roberta brała ochotę krzyknąć: — To nie milion, to żart i rzucić przesyłkę o ziemię, aby złamać na kawałki ten czekoladowy milion.

Ledwo się pohamował. Przy wyjściu podszedł do niego listonosz w towarzystwie eskorty i z niskim ukłonem oświadczył, że dwukrotnie miał szczęście nosić przesyłkę na ulicę Jeremjasza Nr. 13 nie mogąc jej niestety doręczyć z powodu nieobecności czcigodnego nadawcy. Robert wyjął z kieszeni markę i rzucił ją na szeroką dłoń listonosza. Ten spojrział na monetę zdumiony i rzucił za oddalającym się dwa słowa pełne oburzenia i pogardy: Miljoner... K. kanalia... Robert wybiegł na ulicę zaciskając pakiet nerwową dłonią. Westchnienie ulgi wydarło mu się z piersi — wreszcie rozeźmiął się na głos, zdarł opakę, włożył ją zmiętą do kieszeni, bezwiednie odłamał kawałek czekolady i podniósł do ust. Nic nie znamionowało, że ta niewielka tabliczka czekolady kosztowała sto kilkadziesiąt M. Smakowała jak każda inna. Po godzinach, biurowych podszedł do Millera, wziął go tajemniczo pod rękę i idąc przez ulicę przyciszonym głosem zwierzył mu się z szczęśliwego końca tej afery.

Życie Roberta zmieniło się nagle jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Codziennie przybywało do jego skromnego mieszkania po kilku krawców, szewców i agentów. Ten zostawiał mu kilkanaście pudełek prób cygar różnych gatunków innej koszyk wyrobów win i likierów. Robert opędzał się od matulek, ale na próżno: próbki zostawione były w jego mieszkaniu a liczni agenci pełni nadziei na sówite obstalunki znikali w drzwiach wejściowych wśród nieskończonych ukłonów. Gospodyni dawała do jego skromnych kawalerskich obiadów jeszcze dwa dania: lekkie, nazbyt może lekkie śniadania składające się z kawy i dwóch bułeczek pomnożyły swą obfitość przez dodanie wyborowego masła miodu i owoców. Do kolacji zjawiały się dwie flaszki Pilznera. Tymczasem już nietylko cały dom ale

cała ulica Jeremjasza z ożywieniem komentowała ten niezwykły wypadek.

Oczywiście najważniejszą i domagającą się najrychlejszego rozwiązania było tajemnicze źródło, z którego milion Wildera wypłynął. Przypuszczenie spadku było wyłączone, gdyż gospodyni Roberta, z którą od bywały się nieskończonej długości sesje kategorycznie oświadczyła, że zna doskonale stosunki rodzinne swego lokatora a te bynajmniej nie upoważniają do tej w gruncie rzeczy najprostszej hipotezy. Więc wygrał na loterii? Ale na jakiej?

Na saskiej? To niepodobiestwo. Najwyższa wygrana tej loterii nie wynosi nawet trzeciej części tego. Więc może na hamburskiej. Ale tam można wygrać jakieś pół miliona a tu cały milion.

Przekupki z placu rotterdamskiego twierdziły stanowczo, że Wilder zaprzedał duszę diabłu. Jedna z nich gotowa była przysięgać, że widziała diabła z koźlą bródką jak na suchej miotle wjeżdżał kominem do mieszkania Wildera, ale wlecuje kumoszki z oburzeniem odparły tę insynuację, ratując w ten sposób honor 20 stulecia i nie pozwalając na restaurację przesądnych mroków średniowiecza. Ale skąd się wziął ten milion? Chyba tylko na szczęśliwych spekulacjach.

To wydawało się najwięcej usprawiedliwionem przypuszczeniem. Wkrótce hipoteza ta podawana była z taką pewnością, z jaką podaje się prawdę oczywistą niepodlegającą dyskusji. Tymczasem poczta przynosiła Robertowi codziennie dziesiątki korzystnych ofert, propozycji i kombinacji finansowych. Właściciel domu zaproponował mu objęcie całego parteru na olbrzymi sklep, bo ulokowanie miliona w dobrze prosperującym przedsiębiorstwie najwięcej było wskazane.

Codziennie ze śmiechem opowiadał Robert Millerowi o tych propozycjach. Miller śmiał się z nim razem ale na ostatnią propozycję spoważniał i po krótkim namyśle rzekł:

— Nie wszystko to jednak warte śmiechu. Czy mogę ufać twojej przwiźni?

— Zahańw. Jesteś z tem swoim pytaniem.

— Więc nie wvprzesz się, gdy będą się pytać, czy jesteś moim przyjacielem?

— Powtarzam, nie bądź śmieszny.

— Zatem dobrze?

Tego samego dnia wieczorem udał się Miller do właściciela domu przy ulicy Jeremjasza nr. 13.

— Słyszalem rzekł w odnowiedzi na pytajace spojrzenie nosesionata, że ma pan do odstąpienia lokal parterowy.

Gospodarz stropił się nieco.

— Rzeczywiście... jakże mam w istocie... ale on prawie przyrzeczony.

— Wiem, o tem, rezerwuję go pan dla mojego przyjaciela Roberta Wildera.

Ale wiem od niego, że on ma inne zamiarzenia.

— Więc czcigodny pan Wilder jest pańskim przyjacielem? — Tak jest.

— Rzeczywiście nosi się z innym zamiarem?

— Tak mi mówił.

— Zatem... jestem gotów wynająć panu ten lokal. Będę miał sobie za zaszczyt mieć interesu z przyjacielem czcigodnego pana Wildera.

— Doskonale: Tylko warunek: Lokal placę po upływie roku.

Podejrzliwość błysnęła w oczach gospodarza. — Daruje pan ale... — Widzę, że pan jest kupcem, ja również. Mówmy po kupiecku. Przedsiębiorstwo, które wymaga rocznego kredytu na lokal nie wydaje mi się pewne w swej egzystencji...

— Jestem przyjacielem Wildera. Czy nie wydaje się to panu dostateczną rękojmią?

Widząc wahanie się gospodarza powstał i rzekł:

— Daję to panu pod rozwagę. Jakże zaś stosunki łączą mnie z Robertem Wilderem zechce pan sam u niego zasięgnąć informacji. Żegnam.

Nazajutrz właściciel domu przy ul. Jeremjasza nr. 13 stawiał się u Millera oświadczając zupełną zgodę na podane warunki.

Urok miliona działał. Ten sam urok dał Millerowi możność zaciągnięcia pożyczki kilkudziesięciu tysięcy marek, z którymi przystąpił do prowadzenia sklepu na wielką skalę. Żelazna energia i zmysł handlowy a wkrótce potem przystąpienie Wildera, który ożenił się z Frydą ueruntowało egzystencję sklepu. Dziś firma Millera i Wildera operuje milionami a każdy ze współników posiada pół miliona osobistego majątku.

A że milion ten i milionowe przedsiębiorstwo miało za podstawę kruchą tabliczkę czekolady, co to komu szkodzi!

P. J.

## UWAGA!

Następny numer

## „Łódź w Ilustracji“

z okazji rocznicy powstania styczniowego, zawierać będzie oryginalny i niezwykły fragment historyczny, bogato ilustrowany, z autentycznych fotografii oraz sztychów p. t.:

## ROK 63 W ŁODZI

### I WOJEWÓDZTWE ŁÓDZKIEM

w opracowaniu profesora Józefa Raciborskiego przy współudziale redaktora „Łódź w Ilustracji“.

Nieprzeciętny ten numer będzie serdecznym wspomnieniem dla łodzian, szanujących wzniosły porwy bohaterkich swych przodków.

Dla wszystkich szkół łódzkich praca ta będzie nieoceniona, ze względu na szczególne historyczne dotąd nigdzie nie poruszone.



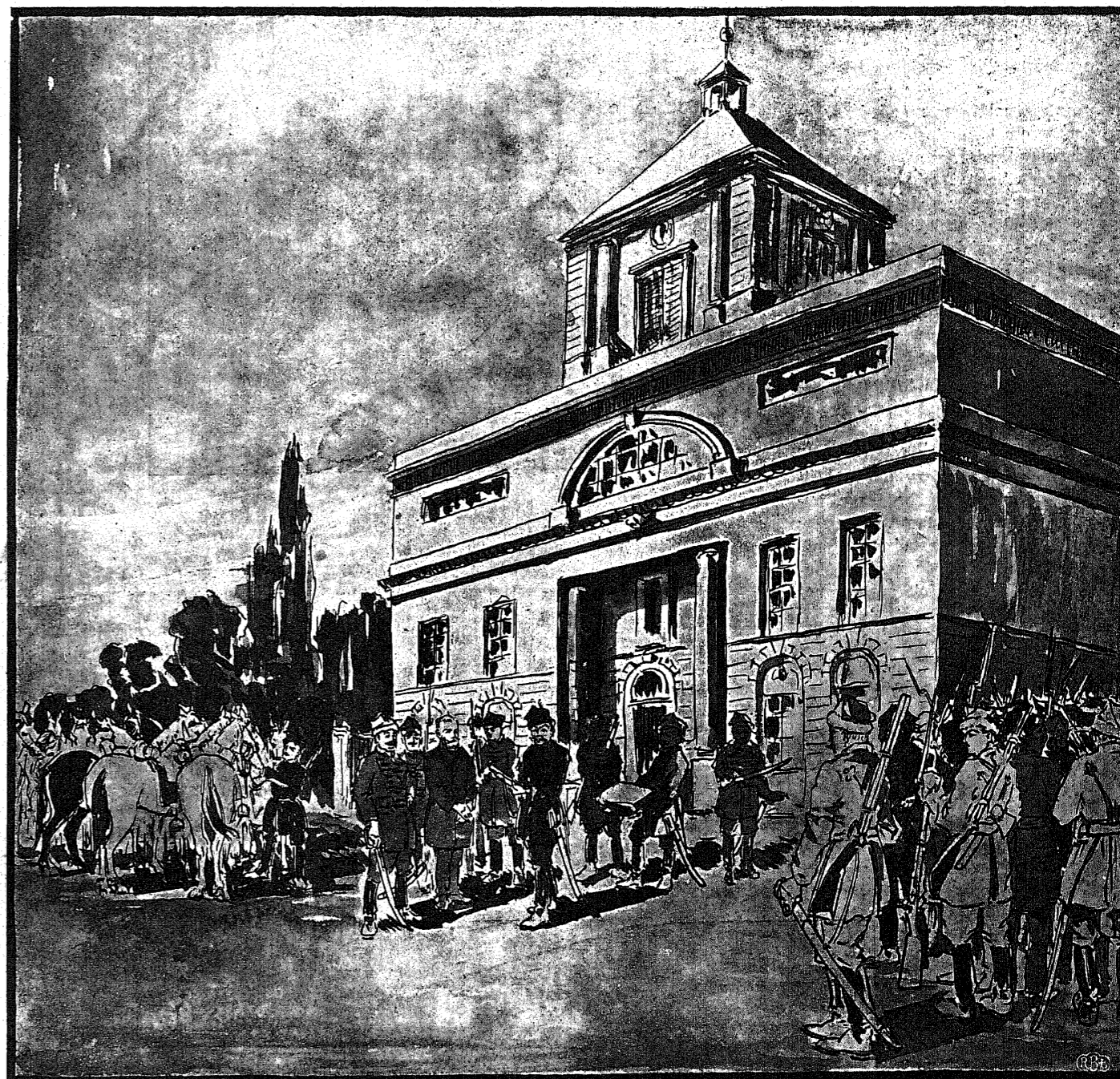
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok II

Łódź, 25 stycznia 1925 roku.

Nr. 4.

## Napad powstańców na Magistrat m. Łodzi w 63-im roku.



(Według sztychu art. mal. Br. Lechowskiego). Na lewo widać otoczonego strażą ówczesnego prezydenta m. Łodzi Andrzeja Rosickiego, w środku dwóch żołnierzy dźwiga kasę z pieniędzmi, na prawo dowódca oddziału partyzantów. Atak partyzantów pod dowództwem księdza Józefa Czajkowskiego na załogę rosyjską w Łodzi oraz Magistrat odbył się w nocy z dnia 30 na 31 stycznia 1863 r. Powstańcy zabrali całą kasę miejską w kwocie 18 tysięcy rubli.